

E. PHILLIPS OPPENHEIM

SOBOWTÓR

Scribus Publishing

Tytuł oryginału:

The Great Impersonation

©2026 Andrzej Ziółkowski
Prawa autorskie do polskiej wersji językowej

ISBN: 978-83-7853-646-8

Edward
Phillips
Oppenheim

Sobowtór

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

2026

Rozdział 1

Wypadek będący początkiem zdarzeń o wielkiej doniosłości wydarzył się, gdy Everard Domineу, który od trzech kwadransów przedzierał się przez gęstwinę w kierunku cienkiej spirali dymu, przesadził w poganianiu robiącego bokami konia i z rozpędem uderzył w rozłożysty oleander, lądując głową naprzód na niewielkiej polance. Zaczęło się następnego ranka, gdy obudził się po raz pierwszy od wielu miesięcy na łóżku, nakryty płóciennymi prześcieradłami, z chłodzącym, bambusowym sklepieniem oddzielającym go od palącego słońca. Było to polowe, wojskowe łóżko. Podniósł się nieco, opierając na łokciach.

– I gdzie ja do diabła jestem? – powiedział do siebie.

Czarnoskóry chłopak, siedzący ze skrzyżowanymi nogami przy wejściu do tego poddasza, powstał, wymamrotał coś pod nosem i wyszedł. Po kilku chwilach w drzwiach pojawiła się wysoka, smukła postać Europejczyka, który miał na sobie nieskazitelnie biały mundur wyższego oficera. Pochylił się przy wejściu i podszedł do łóżka Domineya.

– Czujemy się lepiej? – zapytał uprzejmie.

– Zdecydowanie, – odpowiedź nie zabrzmiała przekonująco, – ale gdzie ja do diabła jestem, i kim pan jest?

Nowo przybyły zmarszczył brwi. Był osobą z dystyngowanymi manierami więc w jego głosie dało się wyczuć lekką dezaprobatę.

– Jest pan pół mili od rzeki Iriwarri, jeśli się pan orientuje, – odparł, – jakieś siedemdziesiąt dwie mile od osady Darawaga.

– A niech to! Więc jestem w Niemieckiej Afryce Wschodniej?

– Bez wątpienia.

– A pan jest Niemcem?

– Mam ten zaszczyt.

Dominey gwizdnął cicho.

– Proszę mi wybaczyć ten mój akt agresji, – powiedział. – Opuściłem Marlinstein dwa i pół miesiąca temu, z grupą dwudziestu ludzi i sporym ładunkiem. Szliśmy tropem lwów. Miałem ze sobą kilku nowych wojowników Askaris i to oni sprowadzili kłopoty, – rozszabrowali nasze prowianty w jedną noc i zniknęli z całym zapasem pitnej wody. Byłem zmuszony zastrzelić jednego, czy dwóch, a reszta uciekła. Wzięli ze sobą mój kompas, niech ich diabli, a teraz jestem prawie sto mil od mojej osady. Czy mogę się czegoś napić?

– Oczywiście, jeśli doktor się zgodzi, – brzmiała uprzejma odpowiedź. – Johan, pozwól tutaj!

Młody Afrykańczyk podbiegł do niego i po wysłuchaniu krótkich poleceń wypowiedzianych w lokalnym narzeczu, zniknął za zwisającymi kępami trawy, które zasłaniały wejście do sąsiedniej chaty. Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie z więcej niż zwykłym zainteresowaniem. Nagle Dominey zaczął się śmiać.

– Wiem, co pan myśli, – powiedział. – Zauważyłem, jak tylko pan wszedł do chaty. Wygląda na to, że jesteśmy zaskakująco do siebie podobni, nieprawdaż?

– Jest wyraźne podobieństwo, – zgodził się tamten.

Dominey oparł głowę na ręce i przyglądał się swojemu gospodarzowi. Podobieństwo było uderzające, chociaż mężczyzna stojący z rękami splecionymi na piersi przy jego łóżku, wyglądał na znacznie bardziej zadbanego. Everard Dominey przeżył pierwsze dwadzieścia sześć lat swojego życia jak typowy młody Anglik o podobnej pozycji społecznej – Eton, Oxford, kilka lat w armii, kilka w mieście, w czasie których zdołał jedynie uszczuplić swój i tak zadłużony majątek, potem kilka miesięcy szaleństwa, które skończyło się tragedią, i pustka. Następne dziesięć lat spędził w Afryce, najpierw w miastach, potem dużo bardziej zakazanych miejscach czarnego kontynentu, lata, o których nikt, poza nim, nic nie wiedział. Everard Dominey sprzed dziesięciu lat z pewnością był przystojnym mężczyzną, bez wątpienia. Rysy jego

twarzy wskazywały na to w dalszym ciągu, ale oczy straciły blask, ciało gibkość, usta swoją zaciętość. Miał wygląd kogoś przedwcześnie postarzałego, zżartego gorączkami i alkoholem. Zupełnie inaczej prezentował się stojący przed nim mężczyzna. Jego rysy doskonale zarysowane i zadbane, ogólnie silniejszy, chociaż o podobnej sylwetce. Miał żywe i pełne ognia oczy, usta i podbródek opanowany, typowy dla człowieka czynu, był wysoki, z ciałem zwinnym i gibkim. Sprawiał wrażenie kogoś o doskonałym zdrowiu, fizycznym i psychicznym, człowieka, który żył stateczne życie w poważaniu i samozadowoleniu, nawet jeśli dało się wyczuć pewną sztywność w jego sposobie bycia.

– Tak, – wymruczał Anglik, – nie ma wątpliwości, co do podobieństwa, chociaż wydaje mi się, że wyglądałbym bardziej jak pan, gdybym odpowiednio o siebie zadbał. Ale nie zadbałem. Diabli wzięli. Wszystko ułożyło się inaczej; chciałem się odciąć od swojego życia, i prawie mi się to udało.

Sucha trawa w otworze wejściowym rozsunęła się z szelestem i do chaty wszedł lekarz – niski, korpulentny mężczyzna, ubrany był podobnie jak tamten, w biały strój skrojony do konnej jazdy, z jasno-blond włosami i w okularach z grubymi szkłami. Jego rodak wskazał na łóżko.

– Zechce pan rzucić okiem na naszego pacjenta, herr doctor, i przypisać mu to, czego najbardziej potrzebuje? Prosił o coś do picia. Niech napije się wina, albo cokolwiek, co będzie mu służyć. Jeśli jest w dobrej kondycji, dołączy do nas przy kolacji. Tymczasem muszę panów przeprosić, mam pewne obowiązki do wypełnienia.

Dominey obrócił się na łóżku i obserwował odchodzącego z pewną dozą zazdrości w oczach.

– Czy mogę poznać imię człowieka, który ocalił mi życie? – zapytał doktora.

Doktor spojrzał na niego tak, jakby pytanie zawierało w sobie obrazę.

– To jego ekscelencja generał-major baron Leopold von Ragastein.

– No ładnie! – burknął Dominey. – Jest gubernatorem, albo coś w tym stylu?

– Jest oficerem w wojskowym zarządzie kolonii, – odparł doktor. – Ma tu też pewną misję specjalną.

– Prezentuje się wyśmienicie, jak na Niemca, – zauważył Domineу z lekką ironią w głosie.

Doktor nic nie powiedział. Sprawdzał puls pacjenta. Badanie trwało kilka minut.

– Nadużywał pan ostatnio whisky, czy mam rację? – zapytał.

– Nie wydaje mi się, żeby to była pańska sprawa, – zabrzmiała krótka odpowiedź, – ale odpowiem panu, piję whisky kiedykolwiek tylko mam okazję. Kto nie pije w tym piekielnym klimacie!

Doktor pokręcił głową.

– Klimat jest zdrowszy, jeśli odpowiednio się do niego dostosujemy, – oświadczył. – Jego ekscelencja nie pije nic poza lekkim winem i wodą mineralną. Jest tutaj pięć lat, i nie tylko tutaj, sporo czasu spędził też na bagnach, ale nie był chory nawet przez jeden dzień.

– Cóż, śmierć zaglądała mi w oczy tuzin razy, – odparł Anglik rozkojarzonym tonem, – i nie dbam o to, jeśli przyjdzie mi za to zapłacić, ale zanim ten dzień przyjdzie, będę pił whisky jak tylko będę miał okazję.

– Kucharz przygotuje panu coś do jedzenia, – oświadczył doktor, – i zrobi to panu dobrze. Nie mogę dać panu whisky w tym momencie, ale może się pan napić trochę reńskiego z liściem wawrzynu.

– Niech mi pan to przyśle, – brzmiała entuzjastyczna odpowiedź. – Rzeczywiście, czuję okropny głód. Te zapachy z kuchni przypomniały mi, że mam żołądek.

– Jest pan wciąż w dobrej kondycji, jeśli tylko zechciałby pan o siebie zadbać, – powiedział lekarz pocieszająco.

– Czy były jakieś wieści o reszcie ludzi z mojej wyprawy? – zapytał Domineу.

– Z rzeki wyłowiono kilka ciał wojowników z plemienia Askaris, – odpowiedział doktor, – a dwa konie, najwyraźniej należące do pańskiej wyprawy, zostały pożarte przez lwy. Proszę mi wybaczyć, muszę zająć się pewnym miejscowym, którego zranił jaguar.

Doktor wyszedł i Dominey został sam w chacie, rozmyślając o minionych zdarzeniach. Spojrzał na rozciągający się na zewnątrz, z rzadka porośnięty drzewami, fragment polany wycięty z odwiecznej puszczy tylko po to, żeby postawić te parę chat bardziej przypominających szałasy aniżeli mieszkalne domy, puszczy odwiecznej, tajemniczej i nieprzeniknionej, z wyjątkiem tego szlaku "kości słoniowej", którym on podążał, prowadzącego do wielkiej rzeki, błękitnej jak niebo w górze, i do gór, które gubiły się w mgiełce na horyzoncie.

Twarz jego gospodarza poruszyła w nim pewne struny wspomnień, ale pełne olśnienie przyszło nieco później, w czasie kolacji, gdy trzech mężczyzn zasiadło przy niewielkim stoliku postawionym tuż przed chatą, po to by mogli cieszyć się lekką bryzą, wiejącą od gór, która zapowiadała nadciągającą noc. Służący z lokalnego plemienia odganiali insekty za pomocą bambusowych wachlarzy, a powietrze przesycone było trudnym do zniesienia, niezdrowym zapachem jakichś egzotycznych roślin.

– Ależ ty jesteś Devinter! – wykrzyknął nagle Dominey, – Sigismund Devinter! Byliśmy razem w Eton – Horrock's House – półfinały w tenisa. – A potem Magdalen, piąte miejsce w wioślarstwie. Dlaczego doktor mówi mi, że nazywasz się Ragastein?

– Bo tak się składa, że to prawda, sir Everard Dominey,– zabrzmiała wyważona odpowiedź. – Devinter to nazwisko panieńskie mojej matki i jedyne, pod jakim byłem znany, gdy mieszkałem w Anglii. Po śmierci mojego wuja odziedziczyłem tytuł barona i wszystkie jego dobra, byłem zobowiązany przyjąć także nazwisko rodowe.

– A więc jednak to mały świat! – wykrzyknął Dominey. – Co sprowadziło cię tutaj – lwy czy słonie?

– Nic z tych rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś tu tylko z politycznego obowiązku, a nie dla sportu?

– Dokładnie tak. Nie używam sztucera częściej niż raz w miesiącu i to tylko, gdy absolutnie konieczne. Przyjechałem do Afryki z innych powodów.

Domineyowi pociągnął łyk swojego wina i odchylił na oparciu krzesła. Obserwował świetliki unoszące się nad wysoką trawą, nad bagiennymi kępami krzewów, jak miniaturowe gwiazdy na tle czystego, fioletowego nieba.

– Co za świat! – powiedział sam do siebie. – Siggy Devinter, baron Ragastein, tutaj, służący nie wiadomo jakiej sprawie, zagrzewając czarnoskórych do walki z nie wiadomo kim, część politycznej machiny, prawdopodobnie przyszły Gubernator Niemieckiej Afryki, co? Zawsze byłeś dumny ze swojego kraju, Devinter.

– Mój kraj, to kraj, z którego można być dumnym, – zabrzmiała poważna odpowiedź.

– Przynajmniej jesteś szczery, – ciągnął Domineyowi, – szczery wobec czegoś. A ja – cóż, dla mnie to skończone. A byłoby skończone ostatniej nocy, gdybym nie zobaczył dymu z twoich zabudowań, ale problem w tym, że niewiele mnie to obchodzi. Wędruję na ślepo. Przypuszczam, że koniec nadejdzie jakoś, kiedyś – czy mogę dostać trochę rumu albo whisky, Devinter – mam na myśli – Ragastein – wasza wysokość – czy jakkolwiek powinienem powiedzieć? Widzisz te kłęby mgły w dole rzeki? Dla mnie oznacza to malarię, chyba że łyknę trochę czegoś mocniejszego.

– Mam coś lepszego niż whisky, – odparł Ragastein. – Ciekawy jestem twojej opinii.

Służący, który stał za plecami swojego przełożonego, otrzymał szeptem polecenie, zniknął w chacie komendanta i po krótkiej chwili powrócił z butelką, na widok której Anglik westchnął.

– Napoleon! – wykrzyknął.

– Mam tylko kilka butelek, które mi przysłano, – wyjaśnił jego gospodarz. – Cieszę się, że mogę poczęstować nim kogoś, kto będzie umiał to docenić.

– Na Jowisza, możesz być tego pewny! – zapewnił Domineyowi, kołysząc trunek w swojej szklance. – Co za świat! Gdy tu trafiłem ostatniej nocy, nie jadłem od trzydziestu godzin, i piłem od wielu dni tylko brudną wodę. A tego wieczoru, smakowite kurczaki, biały chleb, reńskie wino

i Napoleon brandy. A jutro znowu – kto to wie? Jak długo tu zabawisz, Ragastein?

– Jeszcze kilka dni.

– Powiedz, co takiego robisz tak daleko od swojego garnizonu, jeśli nie strzelasz lwów ani słoni? – zapytał z ciekawością.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, – odparł Ragastein. – Drażnię się z waszymi agentami, wędrując z miejsca na miejsce i musztrując lokalnych wojowników.

– A po co ich musztrujesz? – naciskał Domineу. – Słyszałem jakiś czas temu, że macie pod swoją komendą cztery razy więcej czarnoskórych aniżeli my. Chcecie tu zorganizować armię? Czy zanosi się na jakieś kłótnie między nami albo Portugalczykami?

– To po prostu nasz zwyczaj, – oświadczył Ragastein nieco pouczającym tonem, – w Niemczech, i gdziekolwiek my, Niemcy pójdziemy, zabezpieczamy się nie tylko przed tym, czego możemy się spodziewać, ale też przed niespodziewanym.

– Wojna w moich młodych latach, gdy byłem w armii, – rozmyślał Dominey, – mogłaby zrobić ze mnie porządnego człowieka.

– Ale z pewnością masz tę szansę tutaj?

Dominey potrząsnął głową.

– Mój batalion nigdy nie opuścił kraju, – powiedział. – Siedzi w Irlandii cały czas. To był główny powód, dla którego porzuciłem wojskową karierę bardzo wcześnie.

Jakiś czas potem przesunęli swoje krzesła bliżej pogrążającej się w ciemności puszczy, paląc cygara i pijąc dobrej jakości kawę. Doktor poszedł z wizytą do jednego ze swoich pacjentów, a Ragastein pozostawał pogrążony w myślach. Jego gość, wręcz przeciwnie, pozostawał bardzo rozmowny.

– Nasze spotkanie, – zauważył, wyciągając leniwie ramię po swoją szklankę, – mogłoby stanowić ciekawy przypadek dla psychologa. Oto jesteśmy, w wyniku nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności, w środku tej afrykańskiej nocy, dwie ludzkie istoty w tym samym wieku, którzy spotkali się tysiące mil od swoich domów, w obliczu tej nieprzeniknionej

ciemności ciągnącej się poza granice ludzkiego rozumu.

– Twoje oczy wpatrują się dokładnie w miejsce, – wymruczał Ragastein, – gdzie słońce wzejdzie o świcie, rozpraszając te nieprzeniknione ciemności. Będziesz widział je tam, ponad górami, jakby narodził się nowy świat.

– Nie zbywaj mnie swoimi alegoriami, – zaprotestował jego towarzysz z nadąsaniem. – Wieczna ciemność istnieje tu bez wątpienia, nawet jeśli nie podoba ci się moja metafora. Jestem w filozoficznym nastroju. Pozwól mi kontynuować. Oto jestem, ze zmarnowaną młodością, nieszkodliwy amator życiowych przyjemności od wczesnych lat, który znalazł swoją tragedię, od tego czasu włóczęga, włóczęga z pogłębiającym się zanikiem moralności, obijający się przez życie bez specjalnego celu, bez żadnej nadziei albo pragnienia, z wyjątkiem tego, żeby być pogrzebanym gdzieś u stóp tych odległych gór, po drugiej stronie rzeki, spoza której, jak powiedziałeś, słońce wschodzi każdego ranka, jak nowy świat.

– Bezmyślne gadanie, – zaprotestował Ragastein. – Jeśli w twoim życiu wydarzyła się tragedia, to teraz jest najlepszy czas, żeby nauczyć się z tym żyć. Nie masz nawet czterdziestu lat.

– A teraz przyjrzyjmy się tobie, – ciągnął Domineу, ignorując opinię swojego rozmówcy. – Jesteś w moim wieku, ale wyglądasz co najmniej dziesięć lat młodziej niż ja. Twoje bicepsy są twarde, oczy bystre jak w czasach szkolnych. Nosisz się z powagą człowieka, który wie, czego chce. Wstajesz codziennie o piątej rano, powiedział mi doktor, i wracasz tutaj, zmęczony, o zmroku. Każdą chwilę swojego życia spędzasz na szkoleniu czarnoskórych. A gdy masz trochę przerwy, wysyłasz zgrzebne raporty dla swojego rządu, starając się wyciągnąć jak najwięcej z tych kilku milionów akrów malarycznych bagien. Doktor cię podziwia, ale któż się tym przejmuje? Jaki masz w tym cel, przyjacielu?

– To mój obowiązek, – brzmiała spokojna odpowiedź.

– Obowiązek! Ale dlaczego nie możesz wypełniać swojego obowiązku w swoim kraju, żyjąc zwykłe ludzkie życie, ściskając dłonie białych mężczyzn i patrząc w oczy białym kobietom?

– Idę tam, gdzie jestem najbardziej potrzebny, – odpowiedział Ragastein. – Nie znajduję wiele przyjemności w szkoleniu tubylców, nie znajduję za wiele przyjemności, spędzając lata jak rozbitek, wyrzutek z normalnego świata ludzkich radości. Ale podążam za moją gwiazdą.

– A ja, zagubiony wędrowiec, – Domineу zaśmiał się szyderczo. – Wszystko proste jak świński ogon. Ty możesz być nudny jak ciepłe kluchy – zawsze po właściwej stronie – ale ty jesteś człowiekiem z zasadami. Ja jestem nicpoń.

– Różnica między nami, – powiedział Ragastein, – to coś, co jest od wczesnych lat zakorzenione w moim kraju, a czego brakuje w twoim. W Anglii, mając trochę pieniędzy i jako takie urodzenie, młodzi ludzie traktują świat jak plac zabaw, sportowa arena, ogród miłosny. Najwięksi niemieccy arystokraci, zawsze mają jakiś obowiązek, pracę do wykonania i ta praca kształtuje charakter, który daje życiu równowagę.

Domineу westchnął. Cygaro, które trzymał w palcach, chociaż doskonałego gatunku, zgasło. W tej przepełnionej zapachami atmosferze, oświetlonej słabym światłem przesłoniętej żagwi, jego twarz zdała się nagle blada i stara. Ragastein nachylił się nad nim i po raz pierwszy przemówił milszym głosem z czasów szkolnych.

– Wspomniałeś tragedię, mój przyjacielu. Nie jesteś w tym sam. Tragedia weszła także w moje życie. Być może, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, znalazłbym pracę w dużo bardziej przyjemnym miejscu, ale ból przygnał mnie tutaj.

Na twarzy Domineya pojawił się przebłysk współczucia.

– Więc kłopoty dopadły nas obu, tylko że w różny sposób, – zaśmiał się gorzko.